

TEODOR JESKE-CHOIŃSKI



*Gasnące Słońce*

■

Przed domem Publiusza Kwintyliusza Werusa było rojno i gwarno, chociaż późne słońce października wychylało się dopiero spoza Gór Albańskich.

Kilkudziesięciu mężów, w białych togach i lekkich sandałach, przechadzało się wzdłuż wysokiego muru, z którego zwieszały się wieńce splecione z bluszczu i czerwonej latorośli winnej.

Jeden z nich, wysoki, barczysty brunet, zbliżył się do bramy i uderzywszy w nią młotkiem trzy razy, zawołał:

– Hej tam, odzwierny, otwieraj! To my, twojego pana klienci!

Za murem odezwał się tylko pies szczekający zajadle.

– Psy nas wszędzie witają – mruknął klient i odszedł na środek ulicy, gdzie kilku innych obywateli rzymskich słuchało opowiadania małego, suchego jegomości, rozprawiającego o czymś z wielkim ożywieniem.

Drobny człowieczek krzyczał głosem piskliwym, pomagając sobie ruchami rąk, nóg i łysej głowy.

– I co nam po zwycięstwie nad Partami! – dowodził. – Potłukli ich na miazgę, spalili im miasta, zrabowali świątynie i pałace, nabrali niewolnika, a nam nie dostała się z tego wszystkiego ani jedna sestercja. Dowódcy obłowili się, jak zwykle, na żołdactwo posypał się deszcz nagród, a obywatelom rzymskim zostawiono tylko zaszczyt patrzenia na wjazd triumfalny legionów.

– Trzeba ci było pójść na wojnę – zauważył wysoki brunet.

Mały rzucił się do niego i wrzasnął:

– Bohater! Zdawałoby się, że spędził młodość w obozie, a wiemy wszyscy, że nie odczepił się ani na jeden dzień od klamki pańskiej. Na wojnę?! A to na co? Tłuc kości po kniejach i puszczech, brać po grzbiecie trzcina setnika, dźwigać na plecach całą górę rupieci, narażać się na kalectwo, na śmierć? Nie na to podbili nasi przodkowie świat, byśmy marli z niewygód w lasach Germanii lub na skwarnych wybrzeżach Afryki i Azji.

– Lucjusz mówi sprawiedliwie – potwierdzono zewsząd.

– Lucjusz ma słuszność!

Zachęcony w ten sposób Lucjusz, perorował dalej:

– Od czego te psy germańskie, hiszpańskie, egipskie i wszelkie inne ludy barbarzyńskie?! Niech się za nas biją, niech tracą nogi, ręce, uszy i co tylko zechcą! Obywatel rzymski powinien używać. To jego przywilej, nagroda za waleczność przodków.

– Twój to chyba nie ramieniem, lecz głową wojowali – wtrącił wysoki brunet.

– Kajus robi się dowcipny – odezwał się ktoś z boku.

– A twoi udawali zapewne w amfiteatrze byków – odciął się Lucjusz.

Cała gromada wybuchnęła śmiechem.

– Byki mają rogi! – mruknął Kajus.

– I lubią siano! – dodał Lucjusz.

A urwawszy pod murem garść zielska, podał ją Kajusowi wśród ogólnego wesela. Ten, chwytając ustami trawę, trącił Lucjusza głową z taką siłą, że go przewrócił.

– Zbój! Poczekaj, niech się tylko podniosę! – wrzeszczał Lucjusz, gramoląc się z ziemi.

Nie spełnił jednak groźby, kiedy stanął znów na nogach. Rzuciwszy Kajusowi kilka słów obelżywych, pobiegł do bramy i zaczął w nią bębnić pięściami.

– Otwórz! – wołał.

Teraz za murem odezwał się głos donośny:

– Cicho tam! Przesławny trybun jeszcze śpi.

– Otwórz! Dostaniesz na wino – prosił Lucjusz.

– Wróbel nie upiłby się za twoją hojność – odpowiedział stróż domu.

– Mam dla ciebie całą sestercję.

– Kup sobie za nią śniadanie, boś głodniejszy ode mnie.

– Nie bądź taki hardy, niewolniku!

– Nie krzycz tak, wolny żebraku, bo poczekasz jeszcze dłużej.

Lucjusz splunął i wrócił do towarzyszy.

– Podłe rzemiosło ta klientela – mruknął. – Ceruj i czyść dziurawą togę przez cały wieczór, zrywaj się do dnia z barłogu, wystawaj na wietrze i chłodzie przed drzwiami, potem kłaniaj się przez cały dzień panu senatorowi i czekaj cierpliwie, aż ci potężny dobrodziej raczy rzucić jaki ochłap. Nie ma tam który z was kropli jakiego trunku? Ohydnie zimne bywają już poranki.

A kiedy się nikt nie odezwał, zawinął się w togę i zaczął chuchać w skostniałe ręce.

– Psi czas – syknął.

– W istocie, podłe to nasze rzemiosło – rzekł Kajus. – Mam go już dosyć.

– A co będziesz robił? – zawołał Lucjusz. – Minęły dobre czasy pierwszych cesarzy. Niech ich bogowie wynagrodzą na Olimpie za szczęście ubogich. Sypali

zboże, podarunki i złoto na plebejów, ubiegali się o nasze względy, pieścili nas, a teraz co? Nawet denuncjantem, oprawcą, szpiegiem być nie można, bo...

– Stuliłbyś gębę – przerwał mu gwałtownie Kajus – tęskno ci za proskrypcjami i za krwawym strachem Kaligulów, Neronów i Domicjanów? Patrzcie go, jaki obywatel rzymski, potomek legionistów! Gotów jeszcze szczekać na boskiego Marka Aureliusza za jego dobroć i sprawiedliwość.

– A mnie co z tej dobroci i sprawiedliwości boskiego imperatora? Że Kaligula, Neron i Domicjan przeredzili trochę pysznych bogaczy, że upuścili dużo krwi patrycjuszom i rycerzom, to cóż stąd? Dla nas, dla ubogich, znaleźli oni zawsze chleb, igrzyska i uśmiech życzliwy. A teraz co? Od trzech dni nie miałem nic ciepłego w gębie, a pies się nawet o to nie zapyta, czym głodny. Imperator filozofuje, jego doradcy filozofują, baby nawet filozofują. Jak mi się ta bieda sprzykrzy, to zostanę filozofem.

Ostatnie słowa Lucjusza wywołały śmiech powszechny.

– Lucjusz filozofem! – odezwał się jakiś grubas, trzymając się za brzuch, który falował pod togą.

– A dlaczego by nie! – rzekł Lucjusz. – Niby to taka wielka sztuka nie czesać włosów, zapuścić brodę, ubrać się w stary, wytarty, dziurawy płaszcz, ruszać się wolno, z powagą i wygadywać niestworzone rzeczy o cnocie i o bogach. Dziur nie braknie mi i bez tego w todze, a gębę mam w porządku, jak słyszycie.

Ulica, dotąd pusta, zaczęła się ożywiać.

Gromadami przeciągali klienci innych panów, wszyscy w białych, znoszonych mocno togach. Szli ziewając, wlokąc za sobą leniwie nogi, ubrane w połatanie sandały.

– Życzę obfitego śniadania! – krzyczał Lucjusz do każdej nowej grupy.

– I wam, i wam! – odpowiadano.

Spieszyły się do szkoły dzieci płci obojga z woskowanymi tabliczkami w ręku, przebiegali piekarze, niosący na głowie kosze z bułkami.

– Świeże pieczywo, świeże pieczywo, pulchne, wonne i smaczne! – wołał jakiś wyrostek – kupujcie, kwiryci, kupujcie!

– Pokaż no – odezwał się jeden z klientów.

– To dla was – zaśmiał się chłopiec, wyciągając język. I pokłusował dalej.

– Nawet niewolnicy nas nie szanują – mruknął Kajus.

Wtem rozwarła się brama i na progu jej ukazał się olbrzymi niewolnik germański, ubrany w czerwoną tunikę. W prawej ręce trzymał dużą trzcinę.

– Przesławny pan mój wzywa swoich klientów do siebie – zawołał koślawą łaciną.

Z gwałtownością zatamowanego potoku, gdy otworzą nagle śluzy, rzucił się tłum obywateli rzymskich do wejścia. Jeden biegł przez drugiego, każdy chciał być pierwszy.

– Wolno, ostrożnie – napominał niewolnik, podnosząc trzcinę do góry.

Widok grubej laski przywrócił tłoczących do porządku.

– Mój pan nie lubi wrzawy – dodał jeszcze odzwierny.

Klienci, przekroczywszy próg bramy, znaleźli się na dużym placu, na którym wznosił się stary dom parterowy. Z tyłu zielenił się park, przylegający do obszernego pagórka pokrytego ogrodami.

Dworzec Publiusza Kwintyliusza Werusa nie świecił ścianami marmurowymi. Przed głównymi drzwiami nie były wodotryski i nie było kolumn z kamienia frygijskiego. Dwa olbrzymie lotusy okryły prawie cały dach rozłożystymi konarami.

Nie ręka greckiego mistrza, lecz pleśń wieków pomalowała ten dom, zbudowany z dużych cegieł. Wiała od niego cisza powagi.